



(ze str. 4)

TRANSATLANTYK w Krakowie

Anders Bodegard: To się zaczęło od języka, ja bardzo wcześnie sprecyzowałem swoje zainteresowania w kierunku poznawania języków. Najpierw był język francuski, potem dzięki służbie wojskowej nauczyłem się rosyjskiego. Na uniwersytecie miałem wykłady z rosyjskiego i polskiego, to było fascynujące. Wtedy panowała „zimna wojna” i system porozumiewania się nie był tak prosty. Przyjechałem w tym czasie tylko raz do Polski w 1967 roku na kurs dla polonistów, który był na bardzo wysokim poziomie w Warszawie. Wtedy po raz pierwszy byłem w Krakowie i Zakopanem. Od razu polubiłem Kraków, jego niezaprzeczalny urok, Kościół Mariacki. Pamiętam, że spędziłem wtedy bardzo dużo czasu w tym kościele przed ołtarzem Wita Stwosza. Potem pojechałem do Francji. Tam pracowałem i mieszkalem parę lat, ale znałem już język polski. Czytałem trochę polską literaturę i gazety. Miałem też polskich przyjaciół w Sztokholmie. Nie byłem zadowolony, że znając polski nie utrzymywałem ścisłych kontaktów z polszczyzną, że nie szkoliłem się, bo wówczas język polski był dla mnie wielkim wysiłkiem. Studia, które ukończyłem w Sztokholmie były ustawione na bardzo wysokim poziomie, a to również dzięki „Panu Galicyjskiemu”, który był naszym lektorem. Bardzo dobrze go pamiętam z tamtych czasów. Wyglądał i poruszał się jak nauczyciel sprzed wojny. Właściwie nie miał wieku, ale był świetny. Potem spotkaliśmy się obaj na Uniwersytecie Jagiellońskim, nazywał się Andrzej Siudym

H.G.: A kiedy Pan ponownie trafił do Polski?

A.B.: Przyjechałem do Polski ponownie na początku lat 80-tych. Zostałem w Krakowie i pracowałem jako lektor języka szwedzkiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pamiętam, że w tamtych czasach najważniejszym źródłem wiedzy i pogłębiania znajomości polskiego były prawdziwie kultowe rozmowy w krakowskich kawiarniach, bo mało kto miał wówczas telefonu. Staraliśmy się w ścisłym gronie spotykać w każdy wtorek o 11.00 na Rynku w kawiarni „Noworol”. To były bardzo regularne spotkania. W stanie wojennym też tam siedzieliśmy. W czasie, kiedy tu mieszkalem, wszystko było dla mnie straszne. Nic nie było do jedzenia. Ogromna chmura wisiała nad wszystkimi i było wiadomym, że musi się coś stać. I stało się coś okropnego, ale ja tutaj zostałem.

H.G.: Dlaczego Pan został w Polsce w czasie stanu wojennego?

A.B.: ...bo byłem wściekły na tę sytuację, bo moi przyjaciele siedzieli w więzieniu. Poza tym miałem przecież własnych studentów i jak tylko mogliśmy zacząć zajęcia, w lutym to ku mojemu zaskoczeniu zaczęliśmy. Byłem zaskoczony i dziwiłem się, po co im ten szwedzki w takiej sytuacji bez żadnych nadziei, ale na zajęciach pojawili się wszyscy.

H.G.: Powodem do naszej wdzięczności wobec Pana jest w tym okresie Pańska praca

na rzecz Polski w Szwecji?

A.B.: To się zaczęło tutaj, dzięki temu zresztą jestem tłumaczem, bo była taka potrzeba Szwedów. Oni chcieli wiedzieć, co się dzieje w Polsce. Miałem dostęp do publikacji podziemnych dzięki sąsiadom i przyjaciołom jednocześnie. Dostawałem od nich liczne teksty. Miałem bardzo dużą, biurową maszynę do pisania, którą dostałem od byłej teściowej. Była bardzo przydatna, bo można było na niej pisać jednocześnie do 16 kopii. Pisałem i rozdawałem teksty, wysyłałem do Szwecji. Tak to były szalone czasy.

H.G.: Gdy Pan zaczął już zawodowo tłumaczyć z języka polskiego na szwedzki, to od czego Pan zaczął? W Pana tłumaczeniach jest poezja, proza dość ukierunkowana, ale co było najpierw?

A.B.: ...chyba najpierw było zainteresowanie wartością i znaczeniem samego języka. Tłumaczenie jest dla mnie rodzajem czytania, bardzo żmudnego czytania. Żeby zrozumieć sytuację w Polsce, zacząłem czytać rzeczy napisane przez księdza Tischnera. W 1981 był moim kluczem do jej zrozumienia. Na początku zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Nie było prasy, a Tischner był wszędzie obecny. Przemawiał w kościołach, na Uniwersytecie miał wykłady. Dostałem od niego taką małą książeczkę o Solidarności. Dostałem ją dla samego siebie, żeby zrozumieć sens sytuacji. W dwa lata później wydałem ją w Szwecji jako swoje pierwsze tłumaczenie na szwedzki.

H.G.: Co Pana fascynuje w literaturze polskiej, co Pan w niej najbardziej lubi?

A.B.: Bardzo lubię poezję Szymborskiej i prozę Gombrowicza, pomimo, że ta twórczość tak się bardzo od siebie różni. To jest twórczość bardzo różnorodna i chyba to mnie w niej pociąga, ale właściwie nie potrafię tego tak łatwo określić. W Szwecji polska poezja jest czytana i popularna. Znane są utwory Miłosza, Szymborskiej, Różewicza, którzy wydają swoje książki po szwedzku. Popularność polskiej literatury w Szwecji zaczęła się moim zdaniem od Różewicza. Ja wtedy jeszcze go nie przekładałem, ale chętnie czytałem jego książki wydane po szwedzku. On wtedy miał widoczny wpływ na szwedzką poezję. Po latach sam przetłumaczyłem jego jedną książkę. Nosiła tytuł „Płaskorzeźba” i zrobiłem to akurat w 1996 roku. Książka wyszła dwa dni przed ogłoszeniem przyznania literackiej Nagrody Nobla dla Wisławy Szymborskiej. Z tego powodu, książka Różewicza sprzedawała się błyskawicznie. To, co jest siłą polskiej poezji, tak popularnej w Szwecji, to, moim zdaniem, rozbudowana strona liryczna i intelektualna, czego nie ma w poezji szwedzkiej. Wiersze zawierają elementy filozoficzne, ale przy tym są bardzo liryczne. To jest to specyficzne bogactwo waszej poezji i powód, dla którego jest tak popularna w Szwecji.

H.G.: Polak zapytany o szwedzką literaturę

może wymienić „Dzieci z Bullerbyn” Astrid Lindgren, czuję w tym momencie niedosyt. Jakich pisarzy i poetów szwedzkich stara się Pan przedstawić polskiemu czytelnikowi?

A.B.: ...no cóż to nie jest moja rola. Ja przekładam na szwedzki, a nie ze szwedzkiego na polski. W tej pracy nie można postawić znaku równości pomiędzy „dwukierunkowym” tłumaczeniem. Jasne, że są tacy tłumacze, ale ja skupiam się na popularyzacji literatury polskiej w Szwecji. Bez wątplenia jednak polska literatura jest lepiej znana w Szwecji niż szwedzka w Polsce. Obserwuję jednak, że wydaje się coraz więcej u was autorów szwedzkich. Zresztą w tej chwili w Szwecji panuje moda na pisanie kryminałów i to już zupełnie nie jest moja dziedzina. Literatura szwedzka cieszy się natomiast rosnącą popularnością w Niemczech, gdzie pojawia się coraz więcej szwedzkich autorów i tytułów.

H.G.: Czy TRANSATLANTYK jest Pana pierwszą nagrodą za tłumaczenia?

A.B.: Nie, dostałem już wiele nagród w Szwecji.

H.G.: ...wobec tego, jakie znaczenie ma dla Pana TRANSATLANTYK?

A.B.: To jest naprawdę wielki zaszczyt dla mnie. TRANSATLANTYK jest największą nagrodą w moim życiu. W ubiegłym roku byłem w Krakowie na Pierwszym Światowym Kongresie Tłumaczy Literatury Polskiej i byłem bardzo zadowolony, że poznałem Henryka Bereskę, szesznarocznego laureata. Był wspaniałym człowiekiem. Wybrał, kiedyś życie tłumacza, bo nie cierpiał cenzury. Z zawodu był dziennikarzem, ale nie potrafił pracować w tamtych czasach w swoim zawodzie i rozwiązaniem dla niego stała się praca tłumacza.

H.G.: Ta nagroda, będzie dla Pana przypuszczalnie mobilizacją do dalszej pracy, co Pan w tej chwili ma u siebie na „warsztacie”?

A.B.: ...„Transatlantyk”. Praktycznie cała twórczość Witolda Gombrowicza jest już przeze mnie przetłumaczona na szwedzki, a teraz pracuję nad jego powieścią „Transatlantyk”

H.G.: Co pan myśli o Polakach?

A.B.: ...nie potrafię na to odpowiedzieć, to trudne pytanie. Wie Pani, coraz trudniej jest mówić o Polakach, bo Polaków nie da się wsadzić w żadne ramy, schematy, porównania. Poza tym Polacy są teraz wszędzie. Co druga osoba, która do mnie w Szwecji dzwoni to Polak, są to przeróżni ludzie. Gdybym jednak miał zamieszkać ponownie w Polsce to byłby to Kraków. ... Tak, chciałbym mieć jakieś mieszkanie w Krakowie.

H.G.: ...bo tylko tu można spotkać „zaczarowaną drożkę...”?

A.B.: ... to może być powód.

...na uroczystości była i z Laureatem rozmawiała Halina Godecka, czerwiec 2006